

Dlaczego USA mieszają na Bliskim Wschodzie?

28 maja 2015

Prezydent Barack Obama spotkał się w czwartek 14-go maja, w Camp David, z członkami saudyjskiej rodziny królewskiej i z przywódcami pozostałych pięciu feudalnych tyranii Zatoki Perskiej, celem złagodzenia ich irytacji z powodu jego starań o zawarcie ugody atomowej z Iranem. Potwierdził „żelazną” wierność USA sojuszniczym zobowiązaniom obrony ich bezpieczeństwa i obiecał zwiększoną współpracę i pomoc wojskową. Gdy opadnie kurz wzniecony przez osobiste spory pomiędzy Obamą i premierem „Izraela” Benjaminem Netanjahu należy się spodziewać dodania przez Administrację i Kongres ekstra „stali” do zobowiązania obrony i subsydiowania „Izraela”, poprzez rozbudowę jego już i tak wielkiego arsenału nowoczesnych broni. W ten sposób zrobimy[USA] następny krok w tragiczne bagno amerykańskich interwencji na Bliskim Wschodzie, które obróciły się w toksyczną farsę.

Spójrzmy na choćby tylko jeden podrzędny wątek z przyprawiającej o zawroty głowy całości: sprzymierzyliśmy się z naszym zadeklarowanym wrogiem – Iranem, przeciw krwawemu „Państwu Islamskiemu (ISIL)”, które wylęgło się z naszej napaści na Irak i prób obalenia reżymu Assada w Syrii, w których współpracujemy z dżihadystycznymi oszołomami finansowanymi przez Arabię Saudyjską, którą z kolei popieramy w zwalczaniu Hutich w Jemenie, zawziętych rywali Al Kaidy, tej samej Al Kaidy odpowiedzialnej za 9/11!!

Od 1980 r. zaatakowaliśmy [my – USA], okupowaliśmy i/lub zbombardowaliśmy co najmniej 14 krajów muzułmańskich. Mimo poświęcenia tysięcy amerykańskich żołnierzy i wydania bilionów dolarów, region stał się wrzącym kotłem śmierci i zniszczenia. Jednak wciąż tam mieszkamy i końca tego nie widać. Tak właśnie, jak powiedział gazecie „Washington Post” emerytowany generał

lotnictwa, Charles F. Wald – “Nie ujrzymy końca tego [mieszania się] do końca naszego życia”.

Demokraci i Republikanie przekomarzają się na temat wyboru taktyki, ale ani jedni ani drudzy nie mają zamiaru kwestionować czy powinniśmy tam wogóle mieszać. Nawet liberałowie [amerykańska lewica], jak np. zespół redakcyjny gazety “New York Times” doradzający ostrożniejsze podejście, gorliwie zapewnia, że USA muszą pełnić “przewodnią rolę” w rozwiązywaniu licznych problemów Bliskiego Wschodu. Czyli, krótko mówiąc, kontynuować dotychczasowy kurs.

Przeciętny obywatel, próbujący doszukać się w tym wszystkim jakiegoś sensu, mógłby zapytać – DLACZEGO? Prezydent w odpowiedzi zapewnia, że „leży to w naszym narodowym interesie”, na co Kongres mówi – AMEN. Wygłoszenie tego uzasadnienia wywołuje u polityków i ekspertów biorących udział w „talk shows” zsynchronizowane kiwanie głowami, dające do zrozumienia, że nie potrzeba tłumaczyć co oznacza „interes narodowy”, a już na pewno nie należy tego debatować.

W odpowiedzi na nalegania o bardziej specyficzne wytłumaczenie, rządząca elita oferuje cztery powody toczenia tej niekończącej się wojny:

1. Walkę z terroryzmem.
2. Kordonowanie Iranu.
3. Ochronę źródeł ropy naftowej.
4. Obronę „Izraela”.

Gdyby jednak obywatel, w którego żywotnych interesach toczy się ponoć te wojny przyjrzał się bliżej tym argumentom, powinien dojść do wniosku, że ani żaden z osobna, ani wszystkie razem nie usprawiedliwiają straszliwej ich (wojen) ceny, a nawet, że nie mają wielkiego sensu.

TERRORYZM

Twierdzi się, że można zapobiec powtórce zamachu 9/11 poprzez zabijanie terrorystów i nie wpuszczanie ich w nasze granice. Jest już jednak od dawna oczywiste, że nasze interwencje mają skutek odwrotny do zamierzonego, tj. drastycznie zwiększyły grono nienawidzących Ameryki fanatyków, gotowych nawet popełnić samobójstwo, byle tylko nam zaszkodzić.

Amerykanie [i inni na Zachodzie – przyp. tłum.], są szokowani telewizyjnymi obrazami publicznego ścinania głów przez ISIL. Nie pokazuje się im jednak wcale ścinania głów przez rząd Arabii Saudyjskiej i naszych innych “umiarkowanych” sojuszników. Nie mówi im się również, że milicje sprzymierzone z popieranym przez USA rządem Iraku zabijały jeńców wierząc im dziury w czaszkach elektrycznymi wiertarkami. Tymczasem są to typowe zachowania zbrodniarzy w tamtym zakątku świata. ISIL jest objawem a nie przyczyną bliskowschodniego fanatyzmu – problemu mającego korzenie w korupcji, tyranii i ignorancji, którego USA nie są zdolne rozwiązać. Tymczasem jednak arabskie rządy mają dostateczne środki by pokonać ISIL – jeśli zapomną o wzajemnych sporach. Nie musimy robić tego za nie, nawet jeśli z głupoty do tego nie dorastają[1].

To wytłumaczenie jest błędnym kołem – musimy angażować się na Bliskim Wschodzie, by bronić się przed terrorystami, którzy nienawidzą Ameryki za to, że się tam angażuje. Często powtarzane twierdzenie G.W. Busha, że “Nienawidzą nas za nasze swobody” jest nonsensem. Nienawidzą nas bo jesteśmy obcym najeźdźcą. Im dłużej tam się pchamy, tym bardziej prawdopodobny jest zamach w rodzaju 9/11. A, jak świadczy bomba podczas bostońskiego maratonu, jest o wiele bardziej prawdopodobne, że następnego ataku dokonają ludzie którzy już mieszkają tutaj, a nie tamtejsi.

IRAN

Iran nie jest zagrożeniem dla bezpieczeństwa USA i nie będzie nim w przewidywalnej przyszłości. Jego wrogość do Stanów Zjednoczonych jest skutkiem 50 lat naszej aktywnej ingerencji

w jego politykę, począwszy od 1953 r., kiedy to CIA obaliło demokratycznie wybranego premiera i zastąpiło go Szachem.

Barack Obama ma rację, twierdząc, że zatrzymanie rozpowszechniania broni atomowej powinno być jednym z naszych głównych międzynarodowych priorytetów. Jednakże stronnictwo USA w politycznych i religijnych bliskowschodnich wojnach podkopała naszą wiarygodność, tak że wydaje się, iż jesteśmy bardziej zainteresowani w blokowaniu wpływów Iranu, niż w nieprolifracji. Dociekliwy obywatel mógłby zapytać, czemu to odmowa podpisania traktatów międzynarodowych przez "Izrael" i Pakistan oraz zezwolenia na inspekcję ich instalacji atomowych jest OK, w odróżnieniu od Iranu?

Tak czy inaczej, to nie potrząsanie szabelką przez Waszyngton, czy obecność sił wojskowych USA skłoniło Iran do negocjacji, ale sankcje gospodarcze.

NAFTA

Nafta jest towarem na rynku międzynarodowym. Gdy się ją wypompuje spod ziemi, trafia na globalne rynki zbytu, a producenci potrzebują konsumentów. Konsumentów amerykańscy kupują ropę po cenach światowych i jest ona dla nich tak samo dostępna jak dla każdego innego, kto może za nią zapłacić. Nie dostają żadnej zniżki za posiadanie baz wojskowych w pobliżu jej źródeł[2].

Gospodarczym motywem stojącym za napaścią na Irak nie było zagwarantowanie Amerykanom zaopatrzenia w paliwo dla ich samochodów i grzejników, ale dążenie do oddania jego dostaw amerykańskim firmom.

Obecnie USA czerpie mniej niż 10% swej nafty z Zatoki Perskiej. Przewiduje się, że Ameryka wyprzedzi zarówno Rosję jak i Arabię Saudyjską i w ciągu następnych 2 lat stanie się największym producentem ropy w świecie. W roku 2020 kontynent Ameryki Północnej wraz z USA, będzie samowystarczalny jeśli idzie o naftę i gaz[3].

Twierdzenie, że Ameryka musi być obecna na Bliskim Wschodzie dla nafty przestało być podejrzane i stało się nonsensowne[4].

„IZRAEL”

Stany Zjednoczone nie potrzebują „Izraela” do zapewnienia sobie bezpieczeństwa. „Izrael” też nie potrzebuje USA[5].

Posiada on najpotężniejsze i najbardziej nowoczesne siły zbrojne w regionie. W swym arsenale posiada broń atomową i chemiczną, które, ponieważ wciąż odmawia podpisania zabraniających ich rozpowszechniania traktatów, może rozwijać nie oglądając się na nikogo. Otaczające go kraje arabskie są niewydolne, pogrążone w chaosie i zaangażowane w brutalną quasi-religijną wojnę pomiędzy Sunnitami pod wodzą Arabii Saudyjskiej i Szyitami pod przewodem Iranu, która prawdopodobnie potrwa dziesiątki lat. Libański Hezbollah, który powstał w wyniku inwazji „Izraela” w 1982 r. może mu zaledwie przeszkadzać, ale na pewno nie jest zagrożeniem dla jego istnienia.

Nawet jeśli Iran zdobędzie kiedyś „bombę”, „Izrael” jest w stanie zbombardować go z powrotem do epoki kamiennej, a nie ma dowodów na skłonności samobójcze irańskich elit politycznych.

Prawdziwe zagrożenie dla bezpieczeństwa „Izraela” pochodzi z terytoriów, które kontroluje, z sytuacji, w której znajdują się podbici i rządni zemsty Palestyńczycy, wygnani w 1948 i 1967 r. ze swych domów i zapędzeni do gett Zachodniego Brzegu i Gazy, by zrobić miejsce dla „państwa żydowskiego”.

Palestyńczycy są bezsilni militarnie. Mogą najwyżej rzucać kamieniami i od czasu do czasu namówić jakąś zagubioną duszę do zamachu samobójczego. Mogą też strzelać niecelnie z moździerzy przez granicę z Gazą, zawsze jednak kosztem brutalnej odpowiedzi. Odwetowy atak „Izraela” zabił w 2014 r. ponad dwa tysiące Gazan, a odbudowa zniszczonych domów i infrastruktury zajmie co najmniej 10 lat.

Mimo to Palestyńczycy nie wyrzekną się marzenia o niepodległej ojczyźnie, na co najmniej terenach okupowanych przez „izraelską” armię od 1967 r. Tymczasem od pół wieku USA próbują pchać obie strony do wynegocjowania trwałego rozwiązania konfliktu, wydając miliardy na „pomoc” dla „Izraela” i o wiele mniejsze, choć znaczne sumy by ugłaskać Palestyńczyków, oraz na łapówki dla Egiptu i Jordanii, by „Izrael” uznały. Stany Zjednoczone płacą równocześnie kolosalną cenę polityczną – ich współudział w prześladowaniu Palestyńczyków jest główną przyczyną nienawiści do Ameryki w świecie Islamu.

Wszystkie te starania Stanów Zjednoczonych spełzły dotąd na niczym. Zarówno Palestyna, jak i „Izrael”, pełne gniewu, braku zaufania i poczucia historycznych krzywd zachowują się źle[6]. Ale to „Izrael” sprawuje pełną kontrolę nad Zachodnim Brzegiem, a zatem wiarygodne rozwiązanie konfliktu wymaga by to on skończył narzucony tam system apartheidu, albo przez przyznanie Palestyńczykom pełnych praw obywatelskich (rozwiązanie jednopanstwowe), albo przez zgodę na ustanowienie niezależnego Państwa Palestyńskiego (rozwiązanie dwupanstwowe).

Jednak „Izraelczycy” nigdy nie zaakceptują rozwiązania jednopanstwowego. Jednym z głównych powodów jest ich strach przed wysokim wskaźnikiem urodzin wśród Palestyńczyków. Zwycięstwo Netanjahu w ostatnich wyborach, po tym jak oficjalnie obiecał, że nigdy nie pozwoli na realizację rozwiązania dwupanstwowego, pogrzebało również i tą drugą opcję. Prawdziwe „izraelskie” rozwiązanie jest już zresztą realizowane w praktyce – wpychanie żydowskich „osiedli” coraz dalej i głębiej w palestyńskie tereny, aż zabraknie miejsca dla palestyńskiego państwa.

Obecnie już ok. 600000 ludzi mieszka w żydowskich „osiedlach” na Zachodnim Brzegu i ich liczba wciąż rośnie. Żaden rząd „Izraela” nie będzie w stanie w przewidywalnej przyszłości wyeksmitować tak znacznego ich odsetka, by zrobić miejsce dla

Palestyńczyków i ich państwa. Równocześnie, jedynym skutecznym sposobem nacisku na „Izrael” jest zagrożenie mu statusem międzynarodowego pariasa – podobnie jak Republice Południowej Afryki przed zakończeniem Apartheidu. Jednak tak długo jak „Izrael” pozostaje pod ochroną USA, może on i będzie mógł dalej bezkarnie ignorować opinię reszty świata.

Mamy zatem [my – USA] do wyboru albo pozostać dalej sponsorem „izraelskiego” „rozwiązania osadniczego”, albo – w ramach całkowitego wycofania się z regionu, pozostawić „Izraelczyków” i Palestyńczyków samym sobie, żeby musieli ponieść konsekwencje swego zachowania[7].

Tak więc, prawdziwej odpowiedzi na pytanie dlaczego nasz kraj [USA] tonie w bliskowschodnim bagnie nie da się znaleźć w twierdzeniu, że jest to „nasz narodowy interes”. Prawdziwa odpowiedź leży we wpływach i działaniu grup specjalnych interesów – kontrahentów zbrojeniowych, naftowych szejków, pro-„izraelskich” grup nacisku (lobbies), a wreszcie mediów, hipnotyzujących elektorat by zrównywał patriotyzm z toczeniem wojen.

Ich wpływy i znaczenie są kolosalne, a ich ostateczny argument to twierdzenie, że jesteśmy [USA] zbyt głęboko zaangażowani by myśleć o wycofaniu, że tamtejsze problemy są zbyt skomplikowane [dla tak prostego rozwiązania – przyp. tłum], że stawką jest utrzymanie „wiarygodności” Ameryki.

Być może. Jednak stawką jest również nasza [USA] wiarygodność jako demokracji. By ją zachować, odpowiedzialni obywatele powinni przynajmniej zażądać wyjaśnienia, dlaczego USA tonie wciąż głębiej tym bagnie, narażając obywateli i żołnierzy, wyrzucając w błoto gigantyczne sumy pieniędzy i odwracając uwagę rządu od sypiącej się gospodarki, która jest przecież fundamentem bezpieczeństwa narodowego.

Jednakże amerykańska kasta rządząca, podzielona na dwie bliźniacze partie nie ma najmniejszego zamiaru pozwolić na

wzięcie ich fatalnych bliskowschodnich awantur pod lupę. Cała nadzieja leży w zwykłych obywatelach. Kampania prezydencka 2016 zmusi kandydatów do udziału w forach, spotkaniach z lokalnymi wyborcami i do odpowiadania na pytania podczas wywiadów i debat. To może być ostatnia szansa obywateli, na rozdarcie zasłony gładkich sloganów, ukrywających prawdziwe powody wplątania nas[USA] przez rządzącą elitę w afery regionu, gdzie nie mamy tak naprawdę nic do szukania, i gdzie nasze interwencje tylko pogarszają sytuację[8].

Autorstwo: Jeff Faux

Tłumaczenie: Herstoryk

Źródło oryginalne: commondreams.org

Źródło polskie: WolneMedia.net

Licencja: Creative Commons Attribution-Share Alike 3.0 License

O AUTORZE

Autor, Jeff Faux, jest założycielem i Zasłużonym Członkiem Instytutu Ekonomii Politycznej (Economic Policy Institute). Jego najnowasza książka to "The Servant Economy".

PRZYPISY TŁUMACZA

[1] Ten paragraf jest czysto orientalistyczny (wg kryteriów Edwarda Saïda). Autor wydaje się uznawać tortury i barbarzyńskie zabijanie za specyficzną cechę kultury Bliskiego Wschodu. Co, jeśli weźmie się pod uwagę niedawną historię Europy – od II wojny światowej do Kosowa i Bośni, i najnowszą Ameryki – np. Abu Ghraib, Guantanamo czy Kiejkuty, jest silnie orientalistycznym stereotypowaniem. Co do głupoty rządów arabskich, naczelnym celem każdego rządu wszędzie na świecie, czy w Waszyngtonie, czy w Rijadzie, jest utrzymanie się przy władzy i dogodzenie wyłaniającej go elicie. "Głupota" rządów arabskich jest widocznie niezbędna do osiągnięcia tych celów, a zatem wyszczególnianie ich przez autora jest czystym Orientalizmem.

[2] Autor pomija kluczową rolę nafty dla USA wynikającą nie z

jej cen na światowych rynkach, ale z oparcia na niej amerykańskiego dolara, który wciąż jeszcze (choć nie wiadomo jak długo) jest światową walutą rezerwową, gwarantującą Ameryce bezpieczeństwo finansowe i brak limitów zadłużenia. Utrata kontroli nad źródłami ropy w krótkim czasie doprowadziłaby do utraty tej roli "greenback'a" i do katastrofy finansowej USA.

[3] Wedle najnowszych analiz zasobów łupkowych i ekologicznych skutków ich masowej eksploatacji, nadzieja na samowystarczalność USA wydaje się płonna.

[4] W dodatku do kwestii dolara (patrz [2]), bliskowschodnia nafta jest super surowcem strategicznym i kontrola nad jej źródłami jest filarem światowej hegemonii USA, które w sytuacjach kryzysowych mogą pozbawić dostaw wroga czy konkurenta. W podsumowaniu, Stany Zjednoczone NIE MOGĄ wycofać się z Bliskiego Wschodu i zachować swą światową dominację.

[5] Syjonistyczna kolonia jest mikroskopijnym kraikiem, pozbawionym surowców, naturalnych granic i głębi strategicznej. Zarówno jej dobrobyt, jak i potęga militarna, są w 99% zależne od amerykańskich: subwencji, parasola politycznego, uprzywilejowania gospodarczego i miliardowych datków prywatnych od amerykańskich żydów. Utrata poparcia Ameryki równałaby się zatem jej upadkowi. Jest to jednak oczywiście na razie niemożliwe. W dodatku do wpływów syjonistycznych elit na politykę Waszyngtonu, USA są szantażowane przez "Izrael" przy pomocy "Opcji Samsona", tj. groźby jednostronnego, samobójczego ataku atomowego w sytuacji krytycznej, na przeciwników, czy nawet Europę.

[6] Autor wydaje się zrównywać tu zbrodnie oprawców i ich ofiar. Nie ulega wątpliwości, że gdyby sytuację odwrócić Palestyńczycy popełnialiby podobne zbrodnie jak Syjoniści. W każdej jednak takiej sytuacji, to silniejsza strona ponosi przytłaczającą większość odpowiedzialności.

[7] Biorąc pod uwagę rozkład sił i środków, nie ulega wątpliwości, że konsekwencje poniosłaby strona słabsza – Palestyńczycy (patrz [6]).

[8] Biorąc pod uwagę kwestie poruszone w [2],[4] i [5] USA nie mogą się z regionu wycofać, gdyż na jego kontroli opiera się ich światowa dominacja finansowa i militarna. Traktowanie kontroli nad Bliskim Wschodem jako “kwestia bezpieczeństwa narodowego USA” ma sens tylko dla AMERYKAŃSKIEGO IMPERIUM, nie dla AMERYKAŃSKIEJ REPUBLIKI. Tak długo jak amerykańskie elity chcą Imperium utrzymać, tak długo USA MUSZĄ ten region kontrolować. Nadzieja, że amerykańscy wyborcy mogą coś zmienić jest mirażem, zwłaszcza w sytuacji postępującego rozkładu korupcyjnego amerykańskiej demokracji. Federalna Komisja Wyborcza (Federal Election Commission) utraciła niedawno kontrolę nad finansowaniem partii politycznych i kandydatów. Oznacza to wolną rękę dla elit finansowych i bogatych grup nacisku w sterowaniu medialnymi kampaniami wyborczymi i w kontroli nad kandydatami, zarówno przed wyborami, jak i na stanowisku.